

Dmitry Kostiuikewicz, Aleksander Goliusow, Borys Maszkowcew

Kominiarz

Ssąc rybi ogon, Henry przysłuchiwał się rozmowie gospodarza i nowicjusza.

Za oknem budził się ranek. Chłopcy-wspinacze, którzy byli pod opieką mistrza Kuka, jeszcze nie opuścili swoich pokoiów. Henry też mieszkał na górze, w najlepszym pokoju, z Patrykiem Robakiem, takim samym sierotą i kominiarzem. Gospodarz cenił ich najwyżej.

Mistrz Kuk chodził koło nowicjusza, jakby wybierał dla siebie nowy garnitur.

- Jesteś niezły - pomacał bicepsy chłopca, ścisnął plecy. – Jesteś doskonale zbudowany - w przewód kominowy wślizgniesz się, jak palec w...

Uśmiechnął się.

- Twoja matka powiedziała, że masz dziesięć.

- I tak jest, sir - wybełkotał nowicjusz. Z wyglądu miał nie więcej niż siedem.

- Chodzisz do kościoła?

- Tak, sir.

- To dobrze. Niektórzy z moich nierobów nawet się nie myją.

Henry uśmiechnął się, nie wypuszczając z zębów rybiego ogona. Gdyby był tu Patryk Robak - na pewno zaczerwieniłby się. Jednak zauważyć rumieniec na jego umorusanej twarzy byłoby niezwykle trudno.

- Nie będzie lekko na początku, maluchu. Ale za kilka miesięcy nie będzie dla ciebie żadnych tajemnic, a twoje łokcie i kolana staną się twarde, jak pięty włóczęgi. Zostaniesz prawdziwym wspinaczem.

- Tak, sir.

- Witaj w zakładzie kominiarskim Johna Kuka, maluchu. Posiedź tu chwilę, wkrótce zjawi się Wayn Pięta i znajdzie dla ciebie cylinder i surdut. Dzisiaj twoim nauczycielem będzie on, a jutro ja się tobą zajmę.

Mistrz Kuk odwrócił się i zaprosił Henryego do swego gabinetu.

- Ten maluch przypomina ciebie - powiedział gospodarz, siadając na krzesło. – Na pierwszy rzut oka pojętny, chudy, ale silny. Z tobą od razu było wiadomo, w sierocińcu wszyscy prawie tacy, a ten jakiś dziwny. Wygląda na Irlandczyka, chociaż i on, i jego matka mówią bez akcentu. Co myślisz?

- Myślę, że z niego będzie dobry kominiarz, mister Kuk - odpowiedział Henry, skubiąc miedziane guziki surduta.

- A ja myślę, że od katolika nie można się spodziewać niczego dobrego, zwłaszcza od paddyego. No, mniejsza o to... - mistrz Kuk machnął szeroką dłoń. - Dzisiaj pracujesz w moim domu. Lisa da ci klucze i zostawi jedzenie. Wrócę późno, wieczorem - czekaj na mnie.

Przewód kominkowy mister Kuka Henry czyścił co miesiąc.

Zabrał się do tego od dołu. Najpierw pomyślał o nowicjuszu - Maluchu, jak go zdążył ochrzcić. Poradzi sobie? Chłopak powinien być wytrzymały, nie bać się wysokości, nie przybierać na wadze i nie dusić się od sadzy i dymu, jak William Chory. Chłopak rzeczywiście ma rysy Irlandczyka. No i co z tego? Jest chyba normalny, nie morderca i nie złodziej, i Kuk na pewno go przeświecili - właściciele domów i mieszkań nie chcą się

denerwować, rozmyślając o przyzwoitości kominiarza. Na pewno mistrz straci pół dnia, ale wydlubie nawet brud spod paznokci chłopaka.

- Wlecz się maluch wśród zamieci, a sadza z niego, z wiatrem leci... - podśpiewywał pod nosem Henry, czołgając się jak gąsienica, wpierając w ścianki dawno zrogowaciałymi łokciami i kolanami (nie pojękiwał, gdy gospodarz nacierał zdartą skórę solą).

Przewód kominowy mistrza Kuka wznosił się na wysokość pięćdziesięciu stóp, prawdziwy olbrzym, spaść w takim... nie daj Panie Boże. Już lepiej utknąć - częsty błąd nowicjuszy, chociaż często też śmiertelny. Najważniejsze, nie podciągać kolan do podbródka. Na początku nauki, doświadczył na własnej skórze zakleszczenia: próbował się wydostać, ale grzął jeszcze bardziej, krztusił się sypiącą sadzą. Tak spędził trzy godziny, póki nie ściągnęli go na dół sznurem. W niektórych przypadkach, nawet trzeba było z boku komin przebijać.

Ściśnięty w lepkich wnętrznościach przewodu kominowego, posługiwał się wyciorem (sadza sypała się na rozestany na dole worek) i myślał o Elżbiecie.

Dziewczyna pracowała jako pomocnica na maszynie przędzalniczej. Po śmierci matki żyła w przytułku i każdego ranka szła do fabryki przed szóstą, skąd wracała o siódmej wieczorem. Często czekał na nią przy bramie, by odprowadzić do domu. Dał pieniądze na dobry gorset i na każdym spacerze marzył, by wzięła go pod rękę, ta piękna dziewczynka o wątych rączkach i wykrzywionych kolanach. Nienawidził jej pracy za to, co ona z niej uczyniła, za łańcuchy i pasy, którymi chłostali dozorczy. Chciał zabić tych ludzi.

Ale, oprócz pracy Elżbiety, ma jeszcze innych wrogów: kurz, popiół i sadze. Niekiedy w rurach zbierało się tyle smolistego osadu i sadzy, że można je było wygarnąć tylko rękami.

Metalową kulę, na mocnym sznurze i latarnię zostawił na dole. Dotarł już do przedostatniego kolana przewodu kominowego, kiedy obraz Elżbiety (opowiadała mu o swojej pracy: „maszyna się zapełnia i trzeba ją zatrzymać, odsunąć motowidło, zdjąć i odnieść na przenośnik szpule, zainstalować puste i znowu uruchomić maszynę...”) drgnął, zsunął się – nogi nie znalazły oparcia.

Spadał...

Krzyknął, ale (dziwne, wydawało się, że upadek będzie trwał w nieskończoność, jakby wypadł poza kraniec świata) w tym momencie okropne uderzenie wybiło krzyk z jego gardła.

Było słychać, jak trzasnęły żebra; twarzą utknął w tłusty od sadzy kamień - ścianę czy dno kominka? - i zaczął jęczeć. Wnętrznościami wstrząsnął wybuch palącego bólu. Było go tak dużo, że nie wiedział, któremu udzielić najwięcej uwagi. Chyba złamał palce lewej ręki – zamiast nich rozdymał się pęcherz ognia. Świat wypełnił się pulsującym zgiełkiem.

Otworzył zamglone oczy, spróbował się obrócić, krzyknął i stracił świadomość.

Czarna mgła omdlenia była podobna do wnętrza rury - zabity sadzą przewód... Nie - trzy przewody, kończące się monetkami dalekiego nieba. Jakimś niepojętym sposobem patrzył w te trzy włazy równocześnie. I jednocześnie zaczynał wdrapywać się nimi do góry.

Ciasne uliczki Londynu, oblepione drewnianymi domami ze słomianymi dachami, wyprowadziły go na plac. Drewno i słoma... Wielki pożar w 1666 roku zniszczył 87 kościołów i prawie 13 tysięcy domów. Po tym, władze miejskie wprowadziły szereg norm na londyńskie przewody kominowe – stały się one o wiele węższe, czasami, w przekroju, miały dziewięć cali. Jasne, że dorośli już nie nadawali się do ich czyszczenia. Ogień ugaszono dawno, ale dym pozostał - po mieście chodziły słuchy, że pożar nie zdarzył się przypadkowo. „Papistowski spisek” - szeptali doświadczeni ludzie.

Henry lubił chodzić na publiczne egzekucje. Dzisiaj postanowił zaryzykować i przedostać się do amfiteatru. Ku ogromnemu zdziwieniu, to mu się udało - wszyscy jakby go nie zauważali. Otyła kobieta zmarszczyła się z obrzydzeniem i ustąpiła miejsce, Henry gotów był przysiąc, że go nie widzi. Inni przechodzili obok, nawet nie spojrzawszy na niego, chociaż z jego lewej strony był kawałek niezajętej ławki.

Więźniów przywieziono na furmance, związanych dwójkami i usadowionych plecami do końskich ogonów. Na odzienie mieli założone białe, lniane koszule, na głowach - czapki.

- Katolickie wyrodky - wycedził ktoś z tyłu.

- Zdrajcy - podchwycił inny głos.

Skazańców postawili na nogi - jednych kopniakami, drudzy podnieśli się sami – przeprowadzili na szeroką platformę, stworzoną specjalnie dla egzekucji, założyli na szyje sznury. Nad głowami wznosiła się szeroka szubienica na trzynaście pętli. Tłusty kapelan wszedł tuż za więźniami i wezwał do zaśpiewania wraz z nim fragmentów psalmów. Krewni żegnali się - jedni w milczeniu, inni z płaczem. Było dwoje skazańców pijanych w sztok i śmiali się ze skruszonych.

Henry siedział jak mysz pod miotłą.

Kiedy krewni i kapelan opuścili platformę, ta gwałtownie odjechała w bok i nogi skazańców straciły oparcie. Trzynaście par nóg, dynadających trzy stopy nad ziemią. To zawsze działo się nazbyt szybko, ale dalej zaczynało się najbardziej interesujące. Jedni krewni i przyjaciele straconych wieszali się na ciałach, próbując pomóc im umrzeć jak najszybciej. Inni wyklócali się z uczniami lekarzy i katem, starając się wykupić zwłoki po przystępnej cenie. Sypały się szturchańce i przekleństwa. Następnie, bójkę wszczynali czarni - woźnicy bili się o prawo odwiezienia nieboszczyków. Niewyobrażalne widowisko! Henry siedział z otwartymi ustami.

Kiedy gwar ucichł, znalazł się na furmance z dwoma powieszonymi - odskoczył na brzeg i teraz jechał w kierunku Parlamentu.

- I ty... szszsz... Zdecydowałeś się... szszsz...

Henry usłyszał jakiś szept i z przerażeniem stwierdził, że wydaje go nieboszczyk. Wbrew swojej woli pochylił się nad głową trupa.

- I na takie coś postanowiłeś zmarnować swój drogocenny czas, chłopcze? - powiedziały granatowe wargi. - Przejechać się z umarłakami? Chcesz na naszym garbie wjechać do Królestwa Niebieskiego?

Odskoczył od rozmownego trupa i wypadł z furmanki.

Ponownie ogarnęła go ciemność, jak w chwili upadku.

Dzisiaj Henry pożyczył od Waina Pięty wyjściowy surdut. Taki wkładają tylko na śluby albo pogrzeby. Albo, jeśli zamierzasz pójść z Elżbietą do Hyde Parku. Rano, już któryś

zbyteczny raz przeciągnął szczotką po wypłowiałej, ale wciąż jeszcze mocnej tkaninie, by nie zostało ani jednej drobinki sadzy. Nawet strach pomyśleć, że czarne plamy mogłyby przewędrować na sukienkę Elżbiety.

Cała odzież i w ogóle wszystkie rzeczy, które trafiały w ręce kominiarzy, wkrótce oznaczały się tym nieuniknionym znamieniem - sadzą. Henry gorliwie walczył z sadzą, a ta, mszcząc się, pochłaniała wszystkie przedmioty, których dotykał. „Wyjściowy” surdut był jedyny w całej spółdzielni, który zdołał uniknąć tej choroby zawodowej. Co prawda, przyplącił to intensywnością koloru - zbyt często jego boki gładziła twarda szczotka. Za to, jak błyszcząły miedziane guziki! Kiedy tylko nowicjusz otrzymywał swój pierwszy mundur - guziki z niego natychmiast przeprowadzały się na surdut Waina. Henry zapiął kołnierz. To wszystko nieważne, szybko ożeni się z Elżbietą, we dwoje łatwiej pozyskają swój własny kąć i razem ze spółdzielczymi imprezami, z życia Henryego odejdzie spółdzielcza sadza. A Elżbieta będzie mogła nająć się za służącą, choćby u mistrza Kuka i na zawsze zapomni o fabryce.

Trzeba jeszcze tylko się oświadczyć – Hyde Park jest dobrym do tego miejscem. Ech, Henry, zapamiętaj ten dzień - 1 czerwca 1822 roku.

Rzadko odwiedzali tę część miasta, ale teraz, na początku lata, nie chciało się błąkać po ludnych, kamiennych labiryntach i wzorem licznych mieszkańców miasta, Henry pociągnął swoją towarzyszkę nad jezioro Serpentino. Elżbieta przyniosła okruszki chleba i karmiła łabędzie. Te, ufnie wyciągały szyje do jej dłoni i niechętnie klapały nogami po brzegu podążając za przynętą, kiedy odsuwała rękę.

Przemierzali trasę uroczystej parady Wellingtona i Henry śmiesznie kroczył ciągnąc czubkami butów, demonstrując Elżbiecie żołnierzy - zwycięzców Napoleona. Potem przypomniał sobie, że ostatnio, gdzieś tu niedaleko postawiono posąg dawnego wojownika Achillesa. Poszli na poszukiwanie statui i niespodziewanie odkryli, że Achilles jest przedstawiony w całej krasie antycznej nagości. Zażenowana Elżbieta odwróciła się i zakryła twarz rękoma, ogradzając się od takiej arogancji rzeźbiarza. Nie mniej zmieszany Henry, po dżentelmeńsku stanął z przodu, jakby broniąc dziewczynę przed tym antycznym gburem.

„Wyjdź za mnie” - pod koniec spaceru Henry wypowiedział słowa, z powodu których tu przyszedł. I Elżbieta wyraziła zgodę.

„Henry, muszę ci wyznać jedną bardzo ważną rzecz” - w jej oczach zobaczył strach. Coś zagrażało Elżbiecie, jego narzeczonej i teraz jego obowiązkiem było chronienie jej przed możliwym nieszczęściem. Jest gotowy zmierzyć się ze wszystkimi klęskami, które są jej sądzone, ale tylko nie z... „Moi rodzice byli katolikami... I ja też”.

Po miejskich zaułkach biegł kominiarz. Biegł jak szalony, potrącając przechodniów, i w pewnej chwili omal nie wpadł pod zaprzęg konny. Jego narzeczonej jest katoliczką! Boże! Jej rodzice przeżyli całe życie na wygnaniu, nie śmiejąc nawet przestąpić granicy Londynu! Katolik - znaczy „zdrajca”! Może nawet jej przodkowie przygotowywali Spisek Prochowy, palili Londyn i planowali zgładzenie króla Jakuba?! Lepiej, by ona nigdy nie przyjechała do Londynu!

Do tego jeszcze, zgubił gdzieś jeden z tych cholernych, miedzianych guzików. Teraz dostanie wciry od Waina. Domy nachyliły się, zwierając nad głową Henryego w kamienny tunel. Potknął się i potoczył po jezdni.

Podniósł się, oparł ręką o ścianę i rozejrzał się. Z góry naciskało ołowianoszare niebo, brudne ściany nieznanymi budynków obstały go z boków, nos wykrzywił niezdolny uliczny smród. W którym kierunku port? Potarł stłuczone przy upadku czoło, tam już wybujała przyzwoita szyszka. Westchnął głęboko i natychmiast zaniósł się wykańczającym kaszlem, próbując pokonać ból w klatce piersiowej i odpluwając krew. Najważniejsze, by znów nie stracić świadomości, przeklęte suchoty zupełnie go zamęczyły. Trzeba znaleźć drogę do portu albo dotrzeć do Sackville-street. Rozejrzał się, kogo by zapytać o drogę. Nieopodal zauważył wycieńzonego włóczęgę, który próbował jakimiś szmatami owinąć bosa stopy.

- Jak się dostać do portu?

- Idź do diabła - brudny włóczęga błysnął rozgorączkowanymi oczyma, ale nagle jego spojrzenie zmieniło się. - Henry?!

- Tak... - spróbował przypomnieć sobie, gdzie wcześniej mógł widzieć tego zdechlaka.

- Henry! Henry!!! By cię tłukli odważnikiem po łbie! - Włóczęga zerwał się i objął go. - Naprawdę nie poznajesz? Chociaż czego jeszcze można oczekiwać od Anglika! Jak się cieszę, że cię widzę, Henry!

- Ty? - od momentu ostatniego spotkania Maluch bardzo się zmienił i poznać go w tych łachmanach było prawie niemożliwością. Kto by to pomyślał, minęło ponad dwadzieścia lat! Ale to był on - umorusany malec, który kiedyś uratował mu życie.

- Ja! - Maluch roześmiał się. - Jednak poznałeś! Jakie wiatry przywiały cię do Dublina? Czym się zajmujesz? Jak tam żona?

- Żonę wykończyły suchoty, dawno. Zostałem marynarzem na „Ejolu”, zawińliśmy tu z ładunkiem zboża. Kapitan wykorzystuje głód i nabija kieszeń. Jak się tu znalazłeś?

- Zwyczajnie. Otrzymałem spadek i wróciłem do ojczyzny. Dwa nieurodzajne lata pod rząd i nie miałem z czego opłacić renty, więc i skończyło się gospodarowanie. Ogólnie, zostałem z niczym i postanowiłem szukać szczęścia w mieście. Próbowałem tu coś wymyślić, ale takich mądrych ciamajdów jest połowa Irlandii, więcej niż wszy na mojej głowie. Powiedz, nie masz czegoś do żarcia?

- Zaprowadź do portu, a tam coś wymyślimy.

- Dzięki - Maluch ucieszył się niezmiernie. - A może potrzebujecie na statku pracownika, marynarza albo... kogokolwiek? Za wyżywienie, jestem gotów zapieprzać jak świrnięty. W przytułku teraz karmią zgnilizną... i to jeśli się poszczęści.

- Nie. Załoga u nas niewielka, do tego kapitan jest człowiekiem surowym i oszczędnym, nie potrzebuje zbędnej gęby na statku.

- Surowy? Typowy angielski kapitan: zdzierca i sknera!

- Nie, jest sprawiedliwym człowiekiem, nie takim jakim był Kuk. Ten nie wyrzuci człowieka za to, że jego rodzice-Irlandczycy kochają Ojczulka, który koronował Napoleona - Henry uśmiechnął się. - Chociaż sknerą jest na pewno.

Do portu przyszli dość szybko. Henry natychmiast wszedł na pokład, odszukał Ramzego i wyprosił u niego cebulę i kawałek solonego dorsza, na poczet kolacji.

Wchodząc na pokład, dostał ataku kaszlu i, znowu z krwią. Ataki stały się częstsze i mocniejsze. Widocznie niewiele czasu już mu zostało. Wkrótce znów zobaczy się ze swoją ukochaną...

Wsunął zawiniątko z jedzeniem za pazuchę i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę kajuty kapitana.

- Trzymaj - przekazał zawiniątko Maluchowi, który natychmiast rzucił się na jedzenie.
- Mówiłeś, że chcesz opuścić Dublin?
- Yhy - Maluch z błogą miną gryzł cebulkę.
- Więc zapamiętaj: Nazywasz się Terry Smith. Jesteś bratem mojej zmarłej żony, porządny anglikanin, i papista zaledwie w ćwierci – znalazł na tyle siły, by się uśmiechnąć. - Powiedziałem kapitanowi, że zostaję w mieście, a ty będziesz pracować za mnie.

- Co? - Maluch speszył się. – Rozum postradałeś? Dlaczego?
- Mam swoje powody. Kończ posilać się i włącz na pokład. Statek odpływa za godzinę. I... - klepnął Malucha po ramieniu – cieszę się, że cię spotkałem, przyjacielu.

Odwrócił się i poszedł w kierunku nabrzeża Liffey. Niebo nad głową było bezchmurne i przenikliwie błękitne. Odwrócił głowę w kierunku krzyczącej, głodnej mewy, krążącej nad masztami i znów się uśmiechnął. Zrobił głęboki wdech, potem jeszcze kilka, pozwalając rześkiemu, morskemu powietrzu wypełnić płuca. Kaszel nie pojawił się, tylko zawrót głowy przybierał na sile i oto już czuje, jak ziemia ucieka spod nóg i jego nic nieważące ciało leci naprzeciw szybującej mewie.

- Mister Henry! Mister Henry!

Otworzył oczy. Nad nim pochylał się chłopak-nowicjusz.

- Jak masz na imię? – zaniósł się kaszlem - nałykał się sadzy. Przenikliwy ból w klatce piersiowej. Nawet w oczach pociemniało. Instynktownie ścisnął piersi rękoma, bo wydawało się, że inaczej je rozerwie. Lewa ręka odezwała się pulsującym błyskiem, jakby nad nią ktoś znęcał się młotkiem.

- Mister Henry, spadł pan z rury.

„Jakbym o tym nie wiedział” - pomyślał.

- Pobiegnę po lekarza.

„Dureń”. - Nawet nie myśl o tym. Nie mam pieniędzy na lekarza.

- To przyprowadzę swojego ojca. On umie bandażować.

„Ciekawe, co go tu przyniosło i gdzie Wain? I kiedy wróci Kuk? Niech to diabli, rozbić się w kominku pracodawcy. Wstyd na całe miasto, Henry”. - Zawołaj Kuka... Znajdź go.

- Ja... Kuk mnie wypędził. Ja...

- Katolik. Wiem. To w stylu Kuka. To dlaczego tu jesteś?

- Nie zapłacił mi.

- Kraść - grzech, tak mi się wydaje.

- Moich rodziców nikt nie bierze do pracy, teraz i mnie też. Proszę posłuchać, mój tata umie robić opatrunki. Przyprawdzą go tu.

- I Kuk nas wszystkich przydybie.

- Mieszkamy daleko, nie zdoła pan dojść.

„W ogóle nigdzie nie dojdę. Może tylko... do Inianej fabryki”.

- Wiesz co, maluchu? Biegnij do Inianej fabryki, znajdź tam Elżbietę Smith. Ona ze wszystkim poradzi.

East Endem wlokła się dziwna trójca. Dziewczyna z bladą twarzą, w wyplowiałej

odzieży, wlokła diabła: Wisząc na jej ramieniu, ciągnąc za sobą lewą nogę, zostawiając ślady sadzy na bruku, włókł się mężczyzna w podartym surducie z plamami popiołu i krwi. Z tyłu, szurając nogami, szedł chłopak w podobnym surducie na wyrost, dzwoniąc metalowymi uchwytyami gigantycznych szczotek i łańcuchem z odważnikiem.

- Mister Henry, prawdę mówią, że przez komin w dzień widać gwiazdy, a czasami nawet przeszłość lub przyszłość?

- Głupoty opowiadają. Przez nie niczego nie widać. Są krzywe.

Przełożył: Tadeusz Rubnikowicz